



W Sowirogu jest dwanaście gospodarstw, cmentarz i szkoła. W każdym domu jest miejsce dla kilkunastu mieszkańców. Oprócz tego, zgodnie z najświeższą modą, na gości czeka dodatkowych dwadzieścia łóżek w szkole, zmieniającej się w wakacje w małe schronisko turystyczne. Gdyby komuś zależało na przyciąganiu turystów, Sowiróg mógłby się reklamować pięknym widokiem na jezioro Nidzkie, które wyznacza granice wsi od zachodu. Na północy, wschodzie i południu wieś kończy się wraz z linią gęstego lasu, ciągnącego się dziesiątkami kilometrów i zasłuzenie nosi nazwę *Das Grosse Widniss*, Wielkiej Dziczy. Walory przyrodnicze są niezwykle, ale Sowiróg nie jest kurortem, a odwiedziny osób z zewnątrz zdarzają się tu niezwykle rzadko. Na leśnych przecinkach spotkać można mieszkańców, rzadziej poborcę podatkowego czy żandarma. Puszcza i jezioro są przede wszystkim sposobem życia: pozwalają na zbieranie runa leśnego, łowienie ryb, prace przy wycince drzew. Wepchnięte między lasy i jezioro obsiane pola to rzadki widok, a ich uprawa nie daje dużego plonu nawet w urodzaj.

Tak było przez całe setki lat. Ale teraz jest druga połowa lat 40., skończyła się II wojna światowa i w tej części świata wszystko musi się zmienić. Zapowiedzią końca epoki na razie jest dojmująca pustka. Jeszcze niedawno wieś miała ponad stu sześćdziesięciu mieszkańców. Wystarczyło kilka tygodni, by mówić można było o niemal pełnym wyludnieniu, a po Sowirogu, tak jak po dziesiątkach innych miejscowości w zlikwidowanych właśnie Prusach Wschodnich, chodzą tylko polscy lub radzieccy żołnierze oraz nieliczni funkcjonariusze nowej polskiej

administracji. Dotychczasowi gospodarze wyjechali albo wyjadą za chwilę. Jest pusto, ale od południa, zza nieistniejącej już granicy, ciągną nowi mieszkańcy tych terenów. Zajmą domy, zaczną uprawiać pola i chodzić tymi samymi ścieżkami, którymi dawniej chodzili Niemcy i Mazurzy. Ale nie w Sowirogu. Trochę z powodu peryferyjnego położenia, trochę w wyniku niejasnych decyzji politycznych wieś pozostanie pusta. Najpierw zaczną ją wchłaniać las, potem dzieła dokończą ekipy rozbiórkowe. Od 1949 roku tego, że kiedyś była tu wieś, mogą się domyślić tylko wtajemniczeni.

W tym samym czasie, gdy wśród mazurskich jezior trwa zmiana epok, mieszkający w Bawarii pisarz Ernest Wiechert, znany jako jeden z poczytnych niemieckich autorów lat 30. i zaprzysięgły przeciwnik narodowego socjalizmu, wydaje książkę „Dzieci Jerominów”, której akcja dzieje się w Sowirogu. Jerominowie to klan głównych bohaterów, noszących jedno z tych dziwnych mazurskich nazwisk, które nie są ani polskie, ani niemieckie. Bo Jerominowie są ludźmi „stąd”, zżytymi z ziemią i przyrodą chłopami, którzy od pokoleń swoje trudne i heroiczne życie wiodą we wsi obleganej przez las i jezioro. Powieściowi, ulepieni na wzór pokoleń Mazurów Jerominowie mieszkają w prawdziwym Sowirogu – prawdziwym, to znaczy takim, jaki autor zapamiętał ze swojego dzieciństwa i późniejszych podróży. Urodził się bowiem jako syn leśnika, mieszkającego w leśniczówce Kleinort (obecnie Pierśławek w powiecie mrągowskim), a znad Nidzkiego, z Jaškowa i Zamordeji wywodziła się rodzina jego ojca. Mazurską ziemię pokochał z całego serca i już w latach 20. umieszczał tu akcję swych książek, zajmował się również spisywaniem starych ludowych baśni. Po raz ostatni miał okazję odwiedzić te tereny 1936 roku. Potem polityka sprawiła, że rodzinne strony zostały dla niego stracone.

„Dzieci Jeronimów” to poetycka kronika świata podwójnie utraconego. Pierwszy wymiar straty to ten, który dotyczył tych wszystkich miejsc na terenie Polski, które w niezliczonych zawieruchach dziejowych traciły z dnia na dzień mieszkańców: wypędzanych, przesiedlanych, uciekających, nierzadko tracących życie. Tak było w opuszczanych w ucieczce lub przymusowo przesiedlanych miasteczkach, w wyludnionych żydowskich sztetlach czy pacyfikowanych wsiach. Choć może to zabrzmieć niestosownie, to ktoś zawsze w tym przypadku wracał – nawet jeśli nikt z opuszczających nie chciał lub nie mógł zasiedlić domów, niekiedy mocno zrujnowanych, to zawsze znajdowali się inni, którzy przychodzili na ich miejsce. Pisał o tym zresztą nawet sam Wiechert:

Chaty się rozpadały, osiadały dachy, wielokroć przechodziła nad nimi wojna i mór, mord i ogień, tak że jedynie zwęglone kikuty kominów godziły w czarne niebo. Zawsze jednak ktoś to przeżywał, podnosił się ze swojej posoki lub przeczołgiwał się z leśnych wykrotów. Ktoś, kto rozgrzewał się u tlejących belek i żywił się korzonkami oraz korą. Od niego brało początek odrodzenie, on strzegł również prawa. Ginęli chałupnicy, dzieci, bydło, lecz wieś nie ginęła. Z odłogów i ugorów wyrastało znowu ziarno, wracały jaskółki, rozkwitał bez nad porozrzucanymi trumnami. Dawne rody upadały i nie wracały nigdy, ale zawsze wracali ubodzy.

W Sowirogu było inaczej i na tym polega ta druga, rzadsza i dopełniająca dzieła zniszczenia strata, której Wiechert nie mógł się spodziewać, snując swoje refleksje na temat wsi i jej mieszkańców. Z dnia na dzień nastąpiło cięcie, a przetasowanie społeczne i polityczne było tak głębokie, że starzy mieszkańcy zniknęli, a nowi mieli się już nigdy nie pojawić. Wieś zniknęła, wchłonął ją las.



foto. Tomasz Kaczor



Trasa wyprawy

Trasa spaceru wiedzie szlakiem, którym kobiety z Sowirodu regularnie chodziły na targ do Pizsa, najbliższego miasta. Brały ze sobą na sprzedaż to, czego zbywało w gospodarstwach: masło, ryby, prosiaki. Wracały zaopatrzone w przedmioty, które można było tylko kupić, nie dało się wyprodukować metodą gospodarczą:

Poszły jeszcze raz ulicą o dużych wystawowych oknach. Patrzyły zmęczonymi oczami na bogactwa, które leżały tam nieosiągalne dla nich i tylko Gina oczekująca pierwszego dziecka, młoda żona Bojara – robotnika leśnego – wbiegła raptem z gniewnym słowem po kamiennych schodkach i po chwili wróciła z grzechotką, kruchym i kosztownym przedmiotem, jasnym niby kość słoniowa, z czerwonym i błękitnym kwieciem, które jak cudowny wianek opasywało jego krągłość.

Wiechert w oparciu o nieśpieszny pieszy powrót kobiet pod przewodnictwem Marty Jeromin do Sowirodu buduje strukturę pierwszego rozdziału, wprowadzającego czytelnika w atmosferę odludnej wsi. Dla kobiet z Sowirodu wyjście do miasta to była całonocna wyprawa, bo marsz w jedną stronę trwa około czterech godzin, a do marszruty trzeba było doliczyć jeszcze czas spędzony na targu. Dlatego wyruszyć trzeba było o świcie, a wracało się w wieczornej szarzyźnie.



foto. Lesnydzban



01. Pisz

Wyprawę zaczynamy na głównym placu targowym dawnego Pisz, czyli rynku, który nosi dziś nazwę placu Daszyńskiego. Za punkt orientacyjny może służyć ustawiona na środku placu pruska baba, czyli kamienny pomnik, co do którego nie ma zgody, czy został wykuty przez przedchrześcijańskich Prusów czy też przez XIX-wiecznego mieszkańca Wejsun. Tak czy inaczej, pruska baba ze swoją solidnością może służyć za krzepiący punkt oparcia w mieście, które z zawieruchy wojennej wyszło mocno zniszczone. Mówi się, że po przemarszu armii radzieckiej z przedwojennego Pisz ocalało 30% budynków. A to, co zostało, nie było wysoko cenione jako pruskie dziedzictwo i do zabytków podchodzono bardzo pragmatycznie. Dlatego Pisz do dziś pozostaje miastem zauważalnie poobijanym przez historię, a do jego dawnego splendoru pewnie już nigdy nie uda mu się wrócić, chociażby dlatego, że nikt już nie dba o witryny w sklepach z błyskotkami:

Ładne było miasto, miejsce blasku i bogactwa, cudowności obietnic. Po jego brukowanych ulicach maszerowali żołnierze, na rynku wyniośle i uroczyście stał pomnik z żelaznym orłem, za lustrzanymi szybami leżały wszystkie skarby świata. Ale stopy bolały, nieprzywykłe do butów, pieniądze uszły z węzełka chusteczki, a mężczyźni popili się, gdy tylko zniknęli z oczu.

Skoro spacer ma mieć charakter literacki, to przed opuszczeniem miasta warto zajrzeć nad przepływającą przez nie rzekę Pisę, gdzie kobiety z Sowirodu zapewne nie dotarły, bo nabrzeża nie były wówczas miejscem, które warto było odwiedzać. Dziś stoi tam pomnik Melchiora Wańkowicza, który w zupełnie innej stylistyce, ale w podobnym okresie historycznym, portretował te tereny w reportażu „Na tropach Smętka”, zbierając materiały m.in. podczas spływu kajakowego Pisą.

Kobiety z Sowirogu najpewniej opuszczały miasto, idąc dzisiejszymi ulicami 1 maja, Klementowskiego i Gdańską. Po drodze przekroczyć trzeba bocznice kolejową, która niegdyś pomagała się rozwijać piskiemu przemysłowi. Pisz zyskał połączenie kolejowe z Olsztynem i Ełkiem już w latach 80. XIX wieku, a z Orzyszem dwadzieścia lat później. Dziś jednak pociągów nie ma potrzeby nadmiernie się strzec, bo jeżdżą one rzadko, a ich powrót do roli ważnego lokalnego środka transportu ma szansę nastąpić dopiero po zakończeniu modernizacji lokalnych linii kolejowych.

To, co się natomiast nie zmieniło w Piszem i całym regionie, to duże prawdopodobieństwo natrafienia wśród jezior i lasów na tereny wojskowe. Kiedyś funkcję koszar pełnił piski zamek, który rozebrany został w połowie XVIII wieku, a do dziś pozostały po nim tylko fragmenty muru w parku w pobliżu Pisy. Podczas wizyt kobiet z Sowirogu wojsko stacjonowało w południowo-zachodniej części miasta:

Przed koszarami musiały jeszcze raz zaczekać, wracał bowiem z ćwiczeń batalion I właśnie skręcał rozwartą bramę. Tony kapeli pułkowej wypełniały wąską ulicę dźwiękami i dudnieniem jak ogłuszającą falą srebra i złota, która rozbijała się o domy zbierałam głowami czekających. Krok gwoździami podkutych butów tłuk po bruku, lufy karabinów migotały nad zakurzonym błękitem mundurów, a kobiety stały i wpatrywały się nieruchomo zmieszonym spojrzeniem.



02. Szeroki Bór Piski

Współcześnie w samym Piszem garnizonu już nie ma, ale całkiem duża jednostka wojskowa mieści się w połowie drogi między Piszem a Rucianym-Nidą, w Szerokim Borze Piskim. W granicach miasta pasjonaci militariów mogą też poszukać pozostałości po bunkrach z kwatery Göringa.

Za terenami wojskowymi miasto w czasach Wiecherta naturalnie się kończyło i wygaszało. Dziś, w czasach suburbanizacji nawet niewielkich miejscowości, na granicę zabudowy trzeba będzie poczekać trochę dłużej. Wkrótce jednak, tak jak to było przed laty, niezbyt miłe dla oka budynki znikną, a ich miejsce zajmą pola, lasy i jeziora.



foto. Sylwester Górski



03. Jeziora Brzozolasek, Wiartel lub Pogubie Wielkie

Potem poszli wreszcie ulicą wiodącą z miasta, wśród domów coraz niższych i rzadszych, koło rakarni, nad którą wisiła chmura złych woni, koło wiatraka na wzgórzu, koło jeziora, aż otoczyły je pola zielone i rozległe. Zsunęły chusty z głów i głęboko oddychały.

Jeziora to na pewno Brzozolasek, Wiartel lub Pogubie Wielkie. Wiechert nie odtwarza szczegółowej trasy, bo nie było mu to wcale potrzebne z perspektywy literackiej, pewnie też po latach nie pamiętał wielu szczegółów drogi. Można być jednak pewnym, że śpieszące się do domów i pragmatycznie nastawione do spacerów kobiety z Sowirogu zmierzały najszybszą z możliwych dróg. To oznaczałoby w praktyce spacer drogą asfaltową, która nie jest może bardzo uczęszczana, ale naraża jednak na ryzyko spotkania z samochodami. Stąd nie będzie nic zdroźnego w propozycji, by wydłużyć spacer o element kluczenia – ścinania drogi i szukania bocznych ścieżek. Zwłaszcza że drogami w okolicy tradycyjnie spaceruje się bardzo dobrze:

Lekko się szło w pyle drogi, która ciepło wciskała się między palce, dobra była woń młodych brzozowych liści, piękne i znajome pokrzykiwanie czajek krążących nad gniazdami. I choć nigdy się nie wiedziało, co kogo oczekuje w domu, czy nie zabłąkała się koza, czy nie przypalił się garnek, czy mąż nie hałasuje w karczmie lub czy małeństwo nie połknęło guzika, przecież dom będzie stał, pochylony dach i ślepe okna. Jezioro będzie lśnić, grusza kwitnąć na kamienistej miedzy, żurawie klangorzyć na bagnistych łąkach.

Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przerwać spacer zasłużonym odpoczynkiem:

Zeszły z szosy i stara polna droga zaczęła wspinać się wraz z nimi na zbocza, ku rozległym lasom. Niby ładowne okręty ciągnęły się nad nimi białe wiosenne chmury, a cień ich kładł się chłodem na rozpalone czoła. Kwitł mlecz, ziemia woniała wilgotnie i ciepło.

Miały przed sobą cztery godziny drogi, więc kilka razy odpoczywały na którejś z polanek, na skarpie przydrożnej, gdzie po bosych stopach prześlizgiwały się jaszczurki. Odłamywały kęsy bułek niesionych w koszykach, starannie zbierały okruchy i piły zimną kawę zbożową z niebieskiej blaszanki.

Kobietom z Sowirogu nie przyszłoby do głowy, by niebieską blaszankę porzucić w lesie. Tym niemniej warto przypomnieć: śmieci po pikniku zabieramy ze sobą, a nawet warto schylić się po te, które zostawili przed nami spacerowicze spoza grupy skupionej wokół Marty Jeromin. Czasem, choć o wiele rzadziej niż dziś, w krajobrazie trafić można było na ciało obce, wyraźnie nie przystające do reszty. W czasach Wiecherta były to budynki, które miały pomóc uprzemysłowić (a co za tym idzie – zasiedlić i uregulować) Wielką Dzicz. Najpierw były to przede wszystkim smolarnie i dziegciarnie, potem budować zaczęto kuźnie, huty szkła i metalu. No i oczywiście coraz nowocześniejsze piekarnie, na które pobyt był zawsze. Właśnie na ich potrzeby w okolicach Sowirogu powstawały mielerze, czyli miejsca, w których wypalano węgiel drzewny.

Spoglądała ponad młodnikiem, czy nie widać już dymu mielerza, w którym jej mąż wypalał węgiel dla pana von Balka. Taka była codzienna praca. Dumać o sieciach, o które dbał dziadek lub leżeć przy mielerzu i wpatrywać się w dym, co biały albo błękitny unosił się ponad wierzchołki drzew, albo ścinać drzewa w królewskim borze. (...) Mielerz był kaprysem pana von Balka. Węgiel szedł do okolicznych kuźni i piekarń, ale jemu nie o węgiel chodziło. Chodziło o tajemniczość otaczającą to miejsce i czynności.

Słońce stało już za lasem, gdy poczuły dymy wsi i spostrzegły Czaję, który wraz ze swoją starą krową ciągnął pług po ugorze. We wsi zapomniano jego nazwiska i nazywano go Czają, a to z powodu głosu i dlatego, że nim się odzywał, wtulał głowę między ramiona. On to był, który opuścił wiejską wspólnotę, sekciarz i odstępcą, o nim mówili, że go sześćdziesięcioletniego ponoć raz jeszcze ochrzczono bagienną wodą. Pan von Balk dał mu graniczący z wrzosowiskiem kawał bagnistej ziemi i tam Czaja zbudował chatę i wymurował kuchenny piec. Wypłatał kosze i więcierze, sieci i biczyska, znane mu były wszystkie tajemnice lasu.

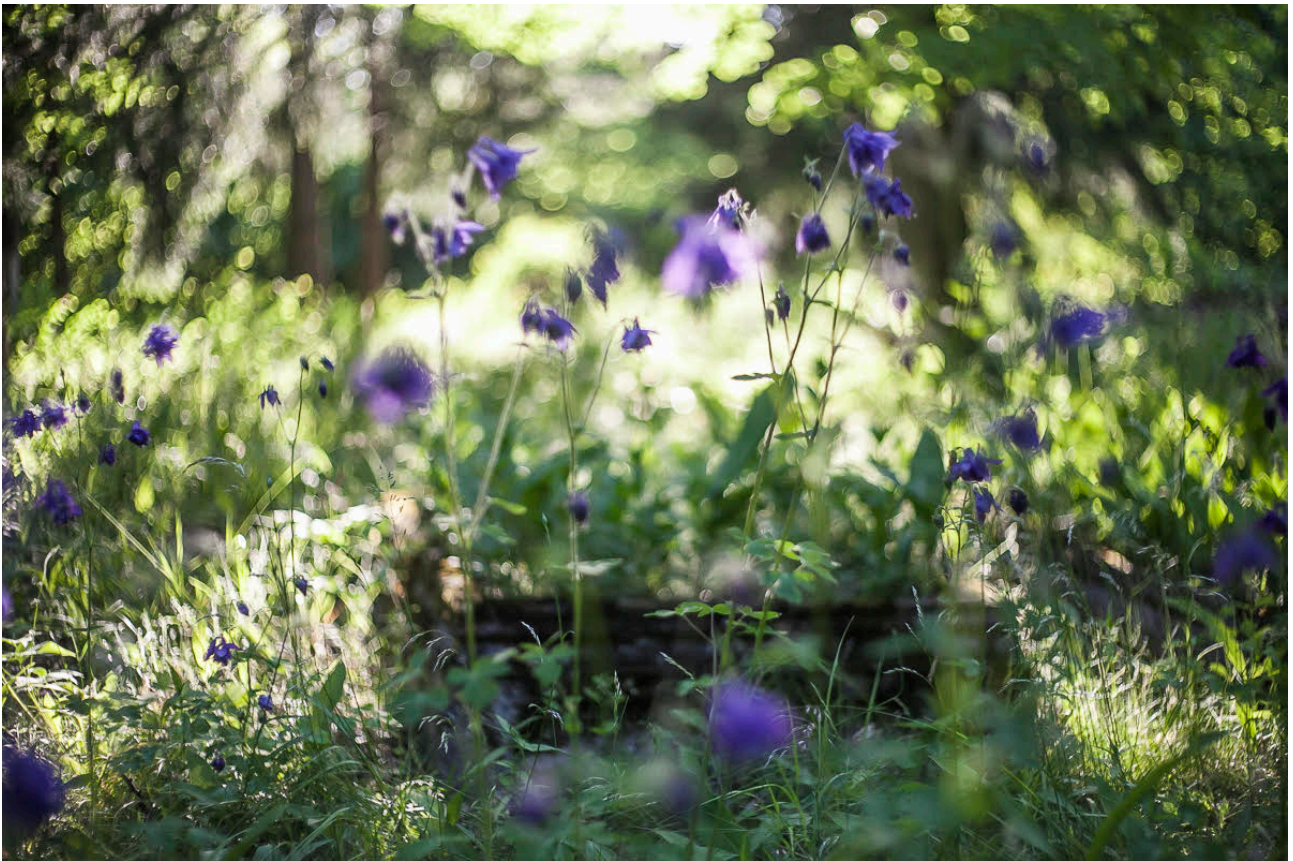


foto. Tomasz Kaczor



04. Sowiróg

Przedłużeniem przecinki z mielerzem była polana, na której rozłożył się Sowiróg. Domy były rozproszone, ale nikt nie mógł mieć wątpliwości, że tworzą jeden organizm.

Dom [Jeronimów] stał na uboczu, blisko jeziora. Kwitł już stary klon i rzucał cień na obejście oraz na ogród. Czerwonawe światło padało z okna kuchni w wieczorny mrok.

Sowirogu, wraz z jego dwunastoma domami i szkołą, już nie ma. Zostały po nim ukryte pod ziemią fundamenty, gospodarskie rośliny, na które trafia się w środku lasu i mały cmentarz, utrzymywany w dobrym stanie przez wolontariuszy. Paradoksalnie jednak Sowiróg może dać nawet lepsze wyobrażenie o tym, jak wyglądały dawne mazurskie wsie, niż wiele innych, zachowanych miejscowości. Wszystkie one przechodziły bowiem naturalną ewolucję, a kolejne dekady historii zostawiały swoje ślady w przestrzeni. Jedne domy znikwały, inne przeżywały termomodernizację i remont przy użyciu popularnej farby z przeceny. Pojawiały się też dziesiątki nowych budynków, różnych funkcji i stylów, zaburzając nierzadko układ przestrzenny wsi. W Sowirogu za to jesteśmy w stanie z pomocą wyobraźni dotrzeć do ideału – ponieważ poza otaczającym, fundamentalnym krajobrazem nie zostało nic, to wszystko można odtworzyć dzięki sugestywnym opisom Wiecherta.

Autor wyprawy - Jan Wiśniewski

Historyk, związany z Towarzystwem Krajoznawczym „Krajobraz” i Pracownią Badań i Innowacji Społecznych Stocznia. Zaangażowany w praktyczne i teoretyczne krajoznawstwo. Współtwórca przewodników Po kolei. Przewodnik podwarszawski i Przypuszcza. Półprzewodnik po Puszczy Białowieskiej i okolicach, a także innych projektów zachęcających do świadomego podróżowania po Polsce.

